

MAŁY PRZEGLĄD

pismo dzieci i młodzieży



Wychodzi co piątek rano
korespondencje i materiały
kierować należy
do redakcji
„MAŁEGO-PRZEGLĄDU”
Nowolipki 7.

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY DO NR. 231 (3931) „NASZEGO PRZEGLĄDU”

SZALOM ASZ.

KOLEDZY

I.

Ojciec Stefana i ojciec Jankla mieszkają w jednym domu Jankiel i Stefan wychowali się pod jednym dachem. Jankiel w towarzystwie Stefana czuł się, jak ze swym bratem. Jankiel urodził się Żydem, a Stefan chrześcijaninem.

Pewnego razu opowiedział ojciec Janklowi, co będzie w przyszłość: że przyjdzie Moshajah i poprowadzi wszystkich Żydów z wielką uciechą do Cyonu.

Wtedy spytał Jankiel ze zdziwieniem:

— Czy Stefan pójdzie z nami do Cyonu.

— Nie, kochanie — odpowiedział ojciec, — Stefan nie pójdzie z nami, bo on jest chrześcijaninem.

— Te słowa napełniły Jankla smutkiem i zmartwieniem.

— To co, że on jest chrześcijaninem — myślał sobie Jankiel dlaczego on nie ma iść z nami do Cyonu?

Od tego czasu, gdy tylko Jankiel spotykał Stefana, patrzył na niego z wielką litością.

— Chodź Janklu, bawmy się w konia — mówi Stefan i ciągnie Jankla za sobą.

A Jankiel wciąż patrzy na Stefana bardzo smutno.

— Wiesz, Stefanie, że ty nie pójdziesz z nami do Cyonu, kiedy przyjdzie Moshajah — mówi Jankiel w połowie łamaną polszczyzną, w połowie po żydowsku, dopomagając sobie rękami.

Stefan patrzy na Jankla ze zdziwieniem. Lekki uśmiech pojawia się na jego wargach. Ciągnie Jankla za poły ubrania i woła:

— Wio, wio, wio!..

— A ty się nie martwisz? — pyta Jankiel Stefana.

— Wio, wio!... — Krzyczy Stefan głośnie i bije Jankla batem, który trzyma w ręku. Tak przeszło wiele dni.

II.

Jest letni, piątkowy wieczór. Stońce jeszcze nie zaszło. Na stole, nakrytym białym obrusem, palą się świece w srebrnych lichtarzach. Przy stole siedzi Jankiel z całą rodziną, ubrani świątecznie. Na najwyższym miejscu stoi ojciec i odmawia „Kidusz”. U boku jego siedzi matka i rozdaje rybę, każdemu po kawałku. Jankiel patrzy wokół siebie. Nagle podchodzi do okna i patrzy na podwórze. Wtem spostrzega przy wozie Stefana, ubranego w codzienne, zakurzone odzienie. Cała twarz ma uśmiechniętą, a w ręku trzyma kawał chleba i tak odziany. A tu w domu wszystko tak czyste i święte. Jankla objęła litość nad Stefanem:

— Nie ma on sobót ani świąt — myślał sobie Jankiel.

Patrzy Jankiel przez okno na swego kolegę i mówi do siebie:

— Ja grzeszę przeciw niemu.

Wówczas postanowił Jankiel naprawić wszystko.

— Ale najważniejszą rzeczą jest — myślał Jankiel — nie zdradzić nikomu tajemnicy.

III.

Nie wiadomo, jak to było. Pewnego razu Jankiel zaczął mówić do Stefana po żydowsku i Stefan go rozumiał. Stefan do niego po polsku i Jankiel go też rozumiał.

Wtedy mogli się łatwiej porozumieć.

Jankiel dowiedział się, że porządni ludzie innego wyznania też mogą wziąć udział w powrocie Żydów do Cyonu. Wtedy Jankiel postanowił wykształcić swego kolegę, żeby był człowiekiem porządnym i żeby mógł razem z innymi pójść do Cyonu. Jankiel bardzo kochał swego kolegę, który był dlań wiernym przyjacielem.

— Nauczę Stefana „gmara” — pomyślał Jankiel — niech on też zna naszą świętą wiarę i niech weźmie udział w powrocie do Cyonu.

— Stefanie, czy ty chcesz znać „gmara”? — spytał raz Jankiel po żydowsku.

— Co ty mówisz? — spytał Stefan Jankla.

— Czy chcesz wiedzieć, czego uczył mnie ojcze?

— No — odpowiedział Stefan.

— Więc słuchaj: dwaj trzymają jeden tałes. Jeden mówi, że cały należy do niego, drugi, że cały należy do niego. Więc wyrok jest, żeby tałes rozdzielć.

— Co ty mówisz? — pyta Stefan.

— Ośle — mówi Jankiel i pokazuje palcem tak, jak jego rebe — nie uczyłeś się: „dwaj trzymają tałes”? Czy jest choć jeden chłopiec, któryby się tego nie uczył?

Więc jeszcze raz: dwaj trzymają jeden tałes. Jeden...

— Zostaw już. Chodź ze mną, to ci pokażę, jak się łowi ptaka w cegły. Więc uważaj: kładzie się cztery cegły, niby skrzyneczkę. Na górę kładzie się też cegła, zostawiając mały otwór i obwiązuje się ją cienkim sznurkiem.

Przez otwór wrzuca się okruszyny chleba. Kiedy ptak wchodzi po okruszynie i porusza sznurkiem, wtedy górna cegła spada i ptak zostaje wewnątrz.

— A jak cegła zabije ptaka? — mówi Jankiel z politowaniem.

— To co, że zostanie zabity — odpowiada Stefan.

— Ale przecież ptak nie zerzeszył, dlaczego ma się za bić?

— Chyba nie rozumiesz tego. Jak ptak porusza sznurkiem, to cegła...

— Zostaw już — mówi Jankiel, udając się do domu.

Stefan został sam.

Przetłumaczył
A. M. z „Tarbutu”.

Dzieci na ulicy

OBRAZKI.

I.

Na ulicy tłok. Gromada ludzi otacza coś, czy też kogoś, żywo rozprawiając. Znalazł się i policjant. Udało mi się docisnąć do sprawy zbiegowiska. Był to mały umorusany chłopczek. Płakał rzewnymi łzami, zatykając brudnymi piastkami oczy. Jaki był cel tego zabiegu — nie wiem. Czy chciał zasłonić wzrok, by nie patrzeć na otaczających, czy chciał rozmawiać szczerze lzy po i tak niezbyt czystej buzi?

Warszawianie są ciekawi. To też zarzucono malca gradem pytań: kim jest dlaczego płacze?

Chłopczyk przestępował z nogi na nogę:

— Ru-bu-hu — zginęła mi moja mamusia!

— A jak się nazywasz?
— Mojsiele... Bu-bu, gdzie

jest moja mamusia?

Zrozumiałem, dlaczego płacze. Ot, odszedł od swojej mamusi i — nie może jej odnaleźć.

Warszawa jest litościwa. Każdy rzucił słowo pociechy, ktoś podał mu karmelek, inny znów podjął się odszukać zgrabie. Ale malec nie przestawał płakać. Nie nęciły go cukierki, ani tembardziej pocieszające słowa. Wołał mamusię i płakał.

Z tłumu wysunęła się malutka dziewczynka tego samego mniej więcej wieku co i on. Podeszła do niego i wzięła go za rękę.

— Nie płacz, Mojsiele, chodź, będziemy się bawić!

Otworzył niepewnie jedno oko, potem drugie, spróbował jeszcze raz uśmieć kilka łezek i — nagle uśmiech zaigrał mu na twarzy, tworząc śliczny

OSTATNI NUMER LETNI:

Od przyszłego piątku
„MAŁY PRZEGLĄD”
będzie miał 6 stron.

W następnym numerze dajemy prospekt na rok szkolny 1933-34 (zamiary i wskazówki redakcji) i rozpoczynamy druk nowej powieści

D-ra JANUSZA KORCZAKA

kontrast z wielkimi szkianami kroplami w oczach.

Spuściłem oczy. Taka mała dziewczynka i ile więcej uczyła niż wszyscy dorośli!

II.

Mżył drobny deszczyk, który ciał w twarz niby ukłucia ostrych igieł. Szedłem przez ulicę, zatopiony we własnych myślach. Przy jednej z cukierni przystanąłem bezmyślnie. Nie smakowały za szybko wystawowa neciły mi, ale właśnie coś przed wystawą. Mały chłopczek niemożliwie brudny stał jakby przyklejony do mokrej szyby. Czarne oczka pożerały różne ciastka, torty, paczki.

Nagle coś wpadło mi na myśl:

— Słuchajno, bebnie, chciałbyś zjeść te ciastka?

Ponotrył na mnie, jak na warjata.

— Pytam się, czy chciałbyś je zjeść?

Wieżył palec w buzię, oczy mu zabłystry.

— Tak, ale nie mam pieniędzy.

Wzięłem go za rękę i wprowadziłem do wnętrza. Miałem akurat przy sobie trochę pieniędzy i postanowiłem je poświęcić.

— Pani dla temu malcowi tyle ciastek, ile tylko zdoła zjeść, jakie sobie wybierze! Ja płacę!

Położyłem pieniądze na stole.

— Jaki ja szczęśliwy — szepnął.

— Doprawdy? Jesteś szczęśliwy? A więc jedz, tylko bacz, aby ci to szczęście nie zaszkodziło!

Już z ulicy przez oszklone drzwi widziałem, jak chciwie zjadał jedno ciastko za drugim.

Uśmiechnąłem się. Chociaż jedna istota ludzka w tej chwili szczęśliwa!

Po pół godzinie wróciłem. Zostałem go w tem samym, co poprzednio miejscu. Stał pochylony i płakał.

— Co ci jest?

Spoglądałem na ziemię i zrozumiałem wszystko. Nic nadzwyczajnego. Wymiotował tyl-

Zaśmiałem się głośno:

— A nie mówiłem ci, że szczęście ci zaszkodzi?

Odszedłem zły. Nawet taki smarkacz przejadł się szczęściem. I jemu ono zaszkodziło!

III.

Idą do chederu. Abramek pierwszy — on jest bogaczem, ma grosz. Za nim Dawidek. Podchodzą do budki z cukierkami.

— Dawidek, co kupić? Cukierek, karmelek, a może pestki?

— Kup... kup cukierek.

— Czego tu stoicie, idźcie swoją drogą!

Właścicielka niemile widzi takich gości. Zatarasowują doście kupującym.

— Ja mam grosz!

— Masz, to dawaj!

Następuje zamiana. Abramek oddaje grosz, który miesza się po chwili z innymi miedzakami i otrzymuje różowy cukierek, owinięty w paperek.

Dawidek patrzy z zazdrością, aż mu ślina ciecze z ust — Daj i mnie raz liźnąć...

— A... nie odgryziesz kawałka?

Mały podnosi dwa palce w górę i uroczyście przysięga.

— Żeby tak... że nie odgryzę!

— No to masz!

Ostrożnie podsuwa mu skarb do języka i zaraz go cofa.

Po chwili Dawidek znów następuje:

— Abramek...

— Czego?

To „czego” jest trochę niewyraźne, bo trudno jest mówić, gdy się liże cukierek.

— Jeszcze raz, jeden razik, ot taki mały razik...

i oczy się zapaliły.

Miara na czubku paznokcia jakoś działa i Abramek daje mu jeszcze raz do liźnięcia. Nagle wydaje okrzyk i szybko cofa rękę.

— Aaa... chciałeś odgryźć, ty... Ugrzyłeś mnie w palec.

Ma lzy w oczach, ale radość w duszy. Wprawdzie ugryził go w palec, ale cukierka nie uszkodził. Już mu drugim razem nie da liźnąć!

Szałom Wajsbrod.

ANERI.

Koleżanka - grafomanka

Różne cuda zdarzają się na świecie i różnych maniaków wydała już ziemia święta. Spotkałam nawet typ manjomanjaka t.j. ludzka, którego ulubioną rozrywką jest wykrywać i odnajdywać przeróżne manie u swych bliźnich. Ale dam mu spokój. To jest oryginalny i rzadko spotykany typ między zwierzętami (zdaje się, że nawet nie ma lacińskiej nazwy) i gotów się domyśleć, że to o nim mowa. Zbilby mnie potem na kwaśne jabłko, a sam przyznacie, że nie należy to do przyjemności. Wolę opisać jedną z moich bardzo sympatycznych koleżanek - grafomanek, jako, że jest to typ bardziej często spotykany i zawsze, przyciśnięta do muru, będę mogła przybrać niewinną minkę i oświadczyć, że opisywałam nie Jadzię, a Marysię, albo zgoła bujałam.

Najpierw kilka słów charakterystyki. Koleżanka ma na imię, przypuścimy: Hela. Ale że jest to osoba o nawskroś poetycznym i lirycznym - romantycznym usposobieniu, więc cudem jakimś przenominowała się na Lilijanę, lub coś w tym rodzaju i, pisząc listy, a raczej różowe liściki pachnące wodą kolońską do jakiegoś rozmarzonego idjoty na poste-restante, zawsze podpisuje się słodziutko „Lili...”. Ów idjota ma na imię Pietrek, ale że to nie jest imię z romansu, więc Lili przemianowuje go sobie na Petronjusza, a potem wychodzi na balkon i patrząc w niebo, obficie usiane gwiazdami wdycha:

— O mój Petrusie kochany!
A potem... potem pisze romans i tu zaczyna się zawrót na karierę grafomanki...

Lekcja matematyki: funkcje, kreski, zygzaki, cyfry, liczby... liczby... liczby... koleżanka wdycha:

— Ach, co za proza! Cóż warta jest matematyka wobec wieczności. Zresztą nietyłe wieczności, ile miłości...

Serce koleżanki wzbięra. Czuje, że potrafi stworzyć powieść, o jakiej uszy nie słyszały, oczy nie widziały. (Racja!).

I pisze. Opisuje tragiczne dzieje młodych bohaterów. Głównym herosem jest naturalnie Petrus. Co chwila powtarzają się wyrazy: „szampańskie życie”! (Dlaczego np. nie „wiśniakowe”?), „pensjonarka”, „urocze dziewczę” i „te deum laudamus”. No i wogóle idjotycznie głupia bzdura, na temat której absolutnie nie warto się rozwodzić. No, a naturalnie finałem tego wszystkiego jest dwójka nietyko z matematyki, ale z wszystkich przedmiotów, a potem następuje coś, co popularnie nazywa się kłapą, strumieniem łez z oczu, co „blyszczą jak dwie gwiazdeczki”, a na ukoronowanie dzieła powstaje nowa fascynująca powieść i wzruszająco głupi list do rozmarzonego studenta na poste - restante, którego to listu treść brzmi jak następująco:

„Dziś o godzinie ósmej wieczór rzucam się z mostu Kierbedzia, piaty filar od prawego brzegu, strona mostu lewa. Nie mogę ci wyjawic przyczyny dla której pozbawiam się życia - widoku ptaszków, kwiatków i słońca. Niechaj nasza ukochana Wisienka pochłonie moje biedne ciało. Żegnaj.
Twoja nawet po śmierci LILI.

Naturalnie, że „Petrus” przylatuje o godz. 8-ej na umówione miejsce i tragedia kończy się spacerkiem „przy blaskach miesiąca”, a spacerek ten służy za temat nowej noweli.

Mamy z tego frajdę: na jakiejś nudnawej lekcji można ostatecznie zrobić przyjemność autorce i nabijać się z „szampańskiego życia w budzie”, oraz temu podobnych wyrażań dziewczynki, która nawet nie jest sentymentalna, ale sili się na sentymentalizm, bo myśli, że jej z tem do twarzy. Gdy klasa nie chce podzielać jej sen-

tymentalnych poglądów, staje na katedrze, przybiera teatralną pozę, którą przedtem wystudjowała dokładnie przed lustrem i mówi patetycznym tonem:

— Ach, wy nie jesteście zdolne mnie zrozumieć! Nie każdemu jest dana dusza poetyczna!

— A później swój żal głęboki wylewa na kartki pamiętnika. Ten pamiętnik to też jest klejnot literatury. Zawsze myślałam, że to ja jestem sentymentalna geś (choć niektórzy twierdzą, że jestem koza), ale przekonałam się, że istnieją typy jeszcze bardziej sentymentalne ode mnie, które płodzą utwory tak bardzo przepelnione wschodami i zachodami słońca, zapachem kwiecia i szumem jodeł, że odrzucać kłiwo się robi człowiekowi na sercu.

Niekiedy zdarza się, że Lili pokłóci się z Petronjuszem. Kilka łez kapnie na papier i powstaje nowy wytwór egzaltacji oraz list do poradnika sercowego w jakimś dzienniku. List ten jest podpisany. Tragedja — jest tem większa, że list wpada w ręce nauczycielki, która „wszczyna odpowiednie kroki” t.j. wzywa rodziców, którzy świecnie obiecują zrzucić ze schodów każdego amanta swej córki i na dodatek zdziesiąć go miotłą przez łeb. Cóż za prozacyjny koniec tak poetycznego dramatu!

JAK DŁUGO MOGĄ ŻYĆ BEZ POŻYWIEŃIA NIEKTÓRE ZWIERZĘTA.

Niektóre zwierzęta mogą bardzo długo pozostawać bez pożywienia: bywały wypadki, że nietoperze i ropuchy, zamurowane przypadkiem po upływie lat kilku znajdowano żywe. Po nich najwytrwalsze na głód są węże. Jeden z dusicieli przez dwadzieścia trzy miesiące nie przyjmował żadnego pokarmu pomimo wszelkich usiłowań do-

Z CYKLU: TEMU CO NIEZ NANE.

Cień

Ja nie znam ciebie cieniu, co, gdy się lampa pali, Wytryskasz ciemną plamą... o pierasz się o ścianę. Ja nie znam ciebie przecież i nie wiem, pogo w dał Rysujesz ciemne smugi i linie polamane.

Gdy wstaję, wstajesz ze mną i stąpasz po pokoju, Kładziesz się na podłodze czar niawy, smukły, długi... I wciąż mnie przesładujesz, nie dając mi spokoju Dziwaczne kreśląc plamy.. kon tury me i smugi.

Uragasz i drwisz ze mnie... O! brzymią mi raz głowę Rysujesz na sufitcie komiczną li nią krzywą, A potem znów okrutnie ją zmniejszasz o połowę, Ozdabiasz przeokropną, lwią c hyba jakąś grzywą.

Gdzie mieszkasz, powiedz, cieniu! A może kiedyś moge Drzwi grzecznie ci otworzyć i rzec ci — „dowidzenia”! I byś nie błądził ciągle... do słońca wskażąc drogę I pozbyć się natręctwa... własnego swego cienia.

W tem właśnie rzecz ta cała, że nie znam twego domu I, że się nie obrażasz, gdy mówię żeś natrętny I nie wiem nigdy kiedy, jak znikaś pokrójom, Skrzywiając na dobranoc twar z w grymas jakiś wstrętny.

Ja nie wiem, jak tve imię mój towarzyszu wierny, Czy zawsze, cieniem będąc, z a mną się będziesz błąkać? I zmieniać potem w smugę, w c zarniawy pas mizerny, I powolutku... cicho... we mgłę poranną wsiąkać?...

Oh powiedz!... przemów do mnie... raz jeden... jedno słowo!... Wszak znamy się tak dawno i tyleśmy przeżyli... Odpowiedz mi jak człowiek, tą zwykłą, ludzką mową, Czy ciągle będziemy razem przez życie swe chodzili?...

Ty milczysz — ja wiem — przecież ty jesteś tylko cieniem, Co zawsze... zawsze milczy i tylko kiedyś... czasem Na macie białej ściany, koślawem wykrzywieniem Małuje się bezkształtnym, czar niawym smug grymasem.
Halina F.

zorca Jardin des Plantes w Paryżu. Olbrzymi anakonda, także w Jardin des Plantes w ciągu sześciu lat jadł tylko 34 razy, a zatem mniej więcej potrzebował się odżywiać, raz na dwa miesiące. Zdarzały się jednak wypadki, że w ciągu 204 dni nie dotykał pożywienia. Piżmowiec może dziesięć dni pozostawać bez pokarmu, antylopa dwadzieścia, orzeł dwadzieścia ośm, borsuk trzydzieści, pies czterdzieści pięć. Koń może żyć dwadzieścia pięć dni sama tylko wodą, a wytrzymuje siedemnaście dni bez jedzenia i picia. Dwa miesiące ścisłego

postu nie mają żadnego wpływu na krokodyla; skorpion trzy miesiące obejść się może bez pożywienia, niedźwiedź sześć, kameleon ośm żmija dziesięć.

Pewien gatunek perskiego kleszcza jest szczególnie wytrzymały na głód, żyje bez jedzenia w ciągu trzech lat.

W pewnej wiosce szwajcarskiej lawina zasypała chlew, w którym był zamknięty wieprz karmny. Minęły cztery tygodnie, zanim chlew odkopano wieprz żył, ale nadzwyczajnie wychudł; cały ten czas odżywiał się własnym sadłem.

NORRIS.

W GÓRACH.

ROMANS WAKACYJNY Z PRZYGODAMI.

Podczas lata robiliśmy wiele wycieczek. Przeszliśmy wzdłuż i wszerz Czarnohorę i Gorgany, zwiedziliśmy różne piękne okolice, wdarliśmy się na kilka szczytów: Howerlę, Turkuł, Wielką Maryszewską, Chomiak, Syniak, Gorgan, Doboszanke, Sywule, Popiwan. Szczególnie wycieczka na Sywule wryła się nam mocno w pamięć. Początek był zwykły. Po wyjściu z lasu, przez który prowadziła droga zaczęło się poszukiwanie noclegu.

Pod Sywulą znajduje się tak zwana „Fabryczka”. Postanowiliśmy tam przenocować, a nazajutrz wstać o szóstej rano i koło południa być już na szczycie.

Postanowienie było dobre. Niestety jednak fabryczki nie można było znaleźć. Jakis napotkany hucul podjął się zaprowadzić nas do fabryczki, ale żądał 5-ciu złotych.

— Za dużo — zdecydowaliśmy i udaliśmy się na poszukiwanie noclegu w kolebach.

Była już siódma wieczorem, gdy napotkaliśmy jakąś kolebę i rozpaliliśmy na placu przed nią ognisko. Gospodarza nie było. Gdy zjawił się, okazało się, że był to ten sam hucul, który żądał pięciu złotych za wskazanie drogi do fabryczki.

Kupiliśmy od niego mleko i zaczęliśmy się gramolić do koleby, w której hucul tymczasem rozpalil ognisko.

Żadna koleba nie odznacza się wykwinem, ale ta była chyba szczytem elastoty i duszności. Nie zmieściło się nas więcej, jak dziesięciu, piątka znalazła pomieszczenie w drugiej, jeszcze mniejszej kolebie, mieszczącej się o jakieś 200 kroków od pierwszej, a reszta, a wśród nich Danek i Lolek, postanowiła nocować na dworze przy ognisku. Było ich około dziesięciu. Wyznaczyli dyżury do czuwania przy ognisku, i pożyliśmy się we śnie.

Leżałem w kolebie na kocu, a drugi koc naciągnąłem prawie na oczy, aby się uchronić

od dymu. Na wycieczkach nauczyłem się spać na najtwardszym posłaniu, to też zmordowany szybko zasnąłem.

Nagle z pierwszego snu wyrwał mnie okrzyk:

— Chłopcy, wstawać! Zerwałem się napół jeszcze śpiący. Wszyscy, którzy spali na dworze wtoczyli się do koleby, wnosząc koce i plecaki. Kierownik stanął we drzwiach i strzelił dwukrotnie z rewolweru.

— Co się stało? — pytaliśmy jeden przez drugiego.

Nikt nie odpowiadał. Padaly rozkazy:

— Zebrać rzeczy w jedno miejsce. Ubierać się!

Nagle odezwał się Lolek: — Wiecie co, zdaje mi się, że jestem raniony.

Dopiero teraz zauważyłem, że odjął od czoła chustkę.

Na wycieczce była jedna studentka medycyny. Zakrzętała się koło Lółki, obmyła mu ranę na czole, obandażowała i ułożyła wygodnie w kolebie pod opieką dwóch dziewcząt, które jednocześnie pilnowały rzeczy.

Z urywków rozmów wytworzyłem sobie pogląd na to, co się stało. Około godziny jedenastej Lolek miał sprawować dyżur. Usiadł przy ognisku i...

zasnął podczas dyżuru. Obudzilo go uderzenie kamienia w głowę. Zerwał się, obudził wszystkich, i schronili się do koleby.

— Czy to napewno rana od kamienia? — pytaliśmy medyczki, — a może od kuli?

— Sądzę że od kamienia.

— Skąd możesz wiedzieć?

— Bo gdyby to była kula rewolwerowa, jużby nie żył. Rany w okolicy skroni są śmiertelne.

Tymczasem w kolebie nie było spokojnie. Kamienie waliły raz poraz w drewniane ściany, huk był jak od grzmotów.

Kierownik dał jeszcze kilka strzałów. Nagle coś sobie przypomniał, bo odwrócił się w naszym kierunku i zawołał:

— Zrewidować tego hucula!

Hucul, który drżał ze strachu, jak listek osiki, posłusznie pozwolił się obszukać, nie podnosząc się z posłania.

— Nie ma przy sobie żadnej broni.

— Nogi odsuń od ognia! — krzyknął kierownik, a gdy hucul skurczył nogi, powiedział do nas po niemiecku: — Uważajcie, żeby nogami nie zagaśli ogniska. On może być w zmo-

wie z napastnikami.

Huk kamieni ustał, ale niebezpieczeństwo nie ustało. Obawialiśmy się że rabusie podejda cichaczem z tyłu do koleby, napadną nas i zabiorą plecaki i koce.

Na rozkaz kierownika przeszukaliśmy dokładnie całą kolebę, uzbrowiliśmy się we wszystko, cośmy znaleźli: w piły, żelazne dragi, ostre kamienie, butelki z odłamanami szyskami, kije i t.d. Najlepsze koce wynieśliśmy przed kolebę i ułożyliśmy się na nich na czatach dokoła koleby. Wewnątrz pozostało kilkoro dziewcząt i chłopców, którzy pilnowali rzeczy, poramionego Lółka oraz „naświetlali” hucula latarką elektryczną i uważali, żeby nie robił nic niepotrzebnego. Hucul początkowo irytował się niezmiernie, potem spokojnie zasnął.

We drzwiach koleby usiadł kierownik i wywołując nas po imieniu odbierał raporty.

Początkowo brzmiało to tak:

— Janek!

— W porządku.

— Norris.

— Nikt nie idź!

— Danek!

— All right.

Później, gdy niebezpieczeń-

(Dalszy ciąg na str. następnej)

Gwiazdy i pajęczyna.

Mierzenie odległości gwiazd jest jednym z najtrudniejszych zadań, gdyż wymaga umiejętności, cierpliwości, dokładności.

O ile mierzenie jest trudne o tyle wyobrażenie sobie tych odległości przez przeciętnego człowieka, orientującego się dotychczas jedynie w odległościach ziemskich jest niemiernie trudne. Cóż bowiem daje nam taka np. informacja uczonych jak np., że słońce jest oddalone od Ziemi o 149.500.000 km. Uczni używają innej jeszcze miary, mówią o „latach świetlnych“; twierdzą np., że najbliższa gwiazda t. zw. Proxima w gwiazdozbiornie Centaura jest oddalona od nas o 3,6 lat świetlnych.

Co oznacza ta miara? Otóż największą znaną szybkością we wszechświecie jest szybkość światła. Wynosi ona około 300.000 kilometrów na sekundę, to jest 18 milionów km. na minutę. Dla porównania podamy, że dźwięk, który też rozchodzi się szybko przebiega przez sekundę tylko 1/3 km. Ziemię mógłby obieć dookoła w ciągu 36 godzin; światło zaś obiega ją siedem razy w ciągu sekundy. Dlatego też widzimy wprawdzie błyskawicę, a dopiero potem słyszymy grzmot.

Odległość w sekundach, minutach, godzinach, dobach, tygodniach, miesiącach i latach świetlnych oznacza czas, w jakim promień światła przebiegnie tej odległość. A więc 18 milionów km. to jedna minuta światła.

Wyobraźmy sobie, że pewnego pięknego poranka wyruszymy w podróż we wszechświecie w powozie, zaprzężonym w promieniu świetlnym. Rozpoczniemy podróż od środka naszego układu słonecznego tj. od słońca.

We trzy i jedną trzecią minuty będziemy na Merkurym, w sześć na Wenerze, w osiem i jedną trzecią dolecimy do naszej Ziemi, a po trzynastu napatkamy Marsa. Po drodze napatkamy dalej Jowisza, Satur-

na, Urana, aż wreszcie po przeszło pięciu godzinach od wyruszenia ze słońca dotrzemy do Plutona.

To już będzie kraniec naszego systemu słonecznego i wówczas zaczniemy się zastanawiać komu złożyć wizytę. Początkowo najodpowiedniejszy wyda nam się Syriusz, który świeci tak wspaniale, a więc powinienby być blisko, lecz przypominamy sobie zaraz, co mówili nam astronomowie na Ziemi, że najbliższą gwiazdą jest Proxima w gwiazdozbiornie Centaura. Ruszamy ku niej.

Lecimy dzień, tydzień, miesiąc... żadnej zmiany. Pędzimy dalej z szaloną szybkością 18 milionów km. na minutę. Wreszcie po 3 latach i 7-miu miesiącach zbliżamy się do Proximy. Okazuje się, że jest ona olbrzymim oślepiającym słońcem tak, jak nasze ziemskie słońce.

Tak samo ma się rzecz z innymi gwiazdami. Wszystkie one są słońcami; jedne mniejszymi, inne większymi niż nasze i napewno wiele z nich posiada również planety, krążące dookoła nich; o tem jednak nie mamy żadnych wiadomości.

Ponieważ zużyliśmy 3,6 lat, aby dolecieć do Proximy z szybkością światła, mówimy, że jest ona odległa od Ziemi o 3,6 lat świetlnych.

W lunetach astronomicznych zwykle umieszcza się siatkę z cieniutkich nitek lub drucików na okularze dla umożliwienia pomiarów przy obserwacji.

Od wielu lat używano do tego, jako materiału nitek pajęczyn, przyczem nie brano sto sunkowo grubej pajęczyny, jaką widzimy na drzewach, trawie np. rano, kiedy błyszczy od rosy, lecz wyłącznie najcieniszkie niteczki, któremi samiczka pajaka omotałe mały kokon w celu ochrony, znajdującego się tam zajązka. Niteczki te są niesłychanie delikatne i cienkie, że trzeba niezmiernie ostrożności i zreczności przy zakładaniu ich.

Kiedyś robotnik, zajmujący się tą pracą, zważył na bardzo czułej wadze pewną odmierzoną ściśle długość takich niteczek i następnie obliczył, ile potrzebowały by było wziąć na funt. Okazało się, że długość wyniosłaby 40.250 km. tj., że możnaby nią opasać ziemię dookoła; dziesięć zaś funtów dałoby nitkę tak długą, że dosięgłaby księżyc.

A ile też trzeba tej nitki aby połączyć nas z gwiazdą Proxima?

Przeszło 450.000 ton! tj. ilości, którą dla przewiezienia wymagała pociągu długiego o 240 km., ciągniętego przez 500 potężnych parowozów.

Taka jest odległość do najbliższej gwiazdy stałej — najbliższej poza naszym słońcem — jednej z wielu krążących w przestworzach.

Najjaśniejszy Syriusz blizszy z odległości przeszło 8 lat światła, Wega 25, Gwiazda Polarne już 270, a jeszcze wiele wiele jest daleko za nimi.

Gdyby jacyś mieszkańcy Gwiazdy Polarnej mogli obserwować Ziemię, to dzisiaj widzieliby w Polsce i w Europie, to co się działo 270 lat temu to jest rok 1663. Jakaż niezwykła perspektywa dla historyków! Okazuje się że obraz naszej ziemi z przed kilkuset lat nie znikł zupełnie, a wraz z promieniem światła pędzi gdzieś w przestworzach, oddalając się z szaloną szybkością 300.000 kilometrów na sekundę.

NIESPODZIEWANY SKUTEK.

— Dzieci — mówi nauczyciel — teraz trzeba specjalnie uważać. Jest to zimno, to ciepło, niebezpieczna pora. Znam jednego chłopca, który pod czas odwilży dostał kataru, potem spadł śnieg, wyszedł z saniami, wypadł w śnieg, zaziębł się, dostał zapalenia płuc i umarł...

Wśród uczniów milczenie. Po chwili z jednej z tylnych ławek rozlega się głos:

— A gdzie są jego sanki, panie profesorze?

Rzeczy ciekawe.

SEN U ZWIERZĄT.

Czy zwierzęta śpią tak jak człowiek?

A więc czy widzą we śnie jakieś obrazy?

I jakie zwierzęta w ten sposób śpią?

Pytaniami temi zajmują się uczeni od dłuższego czasu. A odpowiedź ich jest następująca:

Jest faktem od bardzo dawna stwierdzonym, że wielka ilość zwierząt śpi podobnie jak i człowiek, czyli miewa także marzenia sennie. Stwierdził to bardzo dawno Arystoteles, zauważyli starzy pisarze rzymscy, obserwowali uczeni różnych wieków i czasów.

Pewnym jest np., że psy miewają we śnie widzenia i marzenia. Ankieta rozpisana między hodowców psów i myśliwych przez profesora de Sanctis, wykazała, że najsilniejsze marzenia sennie przeżywają legawce. Psy domowe mają spokojne i mniej jaskrawe sny. Dowodem tego, że psy przeżywają we śnie różne zdarzenia jest fakt, że poruszają one w tym czasie nerwowo łapami, głową, że wstrząsają ciałem, wydają jęki, wzdychają i półprzytomnie szczekają.

Prof. Erhard robił ze swoim legawcem takie próby. Trzymał psa kilka dni poza lasem w domu. Gdy pies zasypiał po takiej kwarantannie, profesor Erhard dawał mu pod nos gałąź sośniny. Pod wpływem wdychania powietrza nasyczonego zapachem gałązki, rodziły się w psie natychmiast asocjacje leśne, gdyż pies zaczynał momentalnie, mimo snu, zachowywać się tak, jakby był na polowaniu, w lesie.

Obserwacje wykazały, że granica marzeń sennych jest ściśle zależna u psów od ich rasy i przyzwyczajenia. Inaczej śpi i śni jamnik lub foksterjer, inaczej dog, a jeszcze inaczej doberman.

Prócz psów śnią niewątpliwie koty i lisy. Charakterystyczne jest tylko, że psy miewają sny z obrazami przeważ-

nie dopiero po północy, a lisy tylko w porze popołudniowej.

Czy wszystkie ssaki miewają marzenia sennie i jakie — trudno o tem coś stanowczego powiedzieć. Wiadomo, że wiele z nich śpi lekko lub twardo, ale czy na ich płycie mózgowej, rozgrywa się jakiś obraz fantastyczny, trudno powiedzieć.

Jeszcze trudniej powiedzieć o czem śnią zwierzęta. U psów i kotów można domyśleć się jakie są ich sny, trudniej jednak domyśleć się tego u lisa.

Być może, że kiedyś nauka odkryje i tę tajemnicę.

CO ODCZUWA CZŁOWIEK PRZY SPADANIU?

Dotychczas przypuszczano, że człowiek, spadający z wysokiego szczytu traci przytomność w czasie spadania o ile przed dotarciem do ziemi nie zostanie uduszony przez nacisk powietrza. Przypuszczenie to okazało się mylnie po niezwykle śmiałych próbach szeregowca Bourdreau (Burdro) na lotnisku w Selfridge w Ameryce. Bourdreau wzniósł się na aeroplanie wojskowym na wysokość 1500 metrów, skąd zapatrzon w spadochron rzucił się głową w dół. W jednej ręce trzymał sznur, służący do otwierania spadochronu, w drugiej zaś zegar, który miał ciągle przed oczami i przy pomocy którego kontrolował co chwila swą podróż. Z zapartym tchem śledziła tę scenę publiczność oraz lotnicy, pozostali na aeroplanie. Bourdreau spadał z gwałtowną szybkością mimo, że wiatr potrząsał nim na wsze strony. Po upływie 30 sekund Bourdreau pociągnął za sznur i otworzył spadochron — było to na wysokości 200 metrów — poczem spuścił się bez przeszkód na ziemię. Oświadczył on, że ani przez chwilę nie tracił panowania nad sobą, ani nie miał poczucia o grożącym niebezpieczeństwie. Odczuwał jedynie gwałtowny świst powietrza.

stwo nie pojawiło się nabraliśmy lepszych humorów. Raporty wyglądały w ten sposób.

- Janek!
- Ida.
- Kto?
- Dwie owce.
- Na zbity dysk z takimi odpowiedziami — irytował się kierownik.
- Norris!
- Jeden baran kichnął.
- Danek!
- Już zdrow.
- Kto?
- Baran.
- Każdy porządny człowiek powinien mieć prawo raz do roku zabić jednego takiego hal-taja, jak wy — denerwował się kierownik.

— Jeden tak mówił to potem umarł na łupież — odpowiedziałem chórem.

Nagle przypomniałem sobie o piątce, zostawionej w drugiej kolebie.

— Możeby tak iść po nich. Kto wie, co się z nimi stało — zaproponował ktoś.

Wybrała się para, ale po dzie sięciu minutach wróciła. Nie mogli znaleźć drogi, a pozatem ciągle zdawało im się, że ich napadła i każdy poszum wiatru, każde kichnięcie zaziębnego barana napawało ich niezmiernym lękiem.

Noc dłużyła się. Wreszcie około trzeciej ujrzeliśmy świat w górach. Piękny to widok — kiedy nagle rozjaśniła się po jednej stronie, gdy druga zastolniona przez górę, pozostaje jeszcze w ciemnościach. Teraz dopiero mogliśmy sprowadzić piątkę z drugiej koleby.

— No jak wam się spało?

— Jak rycerzom Fryderyka Rudobrodzemu.

— Nikt na was nie napadł?

— Jaki nikt! A pchły to pies?

— Pchły to nie pies, ale pchły to także nie rabusie. Słyszeliście strzały?

— A jakże!

— Dlaczegoście nie przybiegli?

— Jeszcze co, będziemy się zrywać dlatego, że komuś chce się strzelać dla zabawy na wiat!

Opowiedzieliśmy im wszystko, ledwo nam uwierzyli. Hucul, właściciel koleby powiedział nam, że dość wprawdzie rzadko, ale zdarzają się wypadki napadów rabunkowych na wycieczki i koleby.

Dlatego zawsze trzeba mieć ze sobą broń. Jako wynagrodzenie za niesłuszne maltretowanie w nocy zostawiliśmy huculowi kiebasę i udaliśmy się w dalszy marsz.

Pogoda była przepiękna, gdyżśmy się znaleźli u podnóża Sywuli. Szczyt robiliśmy dwiema partjami. Podczas gdy jedna partja bez piecaków, z czekoladą tylko w kieszeni robiła szczyt, druga tymczasem na dole piłnowała rzeczy, posilała się i odpoczywała.

O godzinie trzeciej osiągnęliśmy szczyt i rozpoczęliśmy powrót. Wróciliśmy przepiękną doliną Safatruku i przez całą drogę powtarzaliśmy sobie:

— Ale to dopiero będziemy mieli do opowiadania na kolonii!

Tymczasem na kolonii nie chcieli nam wierzyć, a gdy na dowód prawdy pokazywaliśmy rozbitą łeb Loika, odpowiadało:

Przewrócił się i rozbił sobie głowę, a wy do tego dorobiliście cały detektywno-sensacyjno-kryminalno-podróżniczy romans.

To nas irytowało do najwyższego stopnia. Nie wierzyć w autentyczną i krwawą historię — skandal!

Zemsta nasza była oryginalna. Zaczęliśmy nawzajem zadawać sobie kłam i wymyślać tak fantastyczne wersje tej przygody, że nikt nie wierzył w

już, co jest prawdą, a co kłamstwem.

— Nie wiercie tej bujdzie o napadzie huculów — mówił Danek — myśmy sami specjalnie rozbili głowę Loikowi, żeby wam móc opowiadać niestworzone historie.

— Skąd znowu — zapewnił Lolek — gdy byłem na szczycie Sywuli, meteor spadł mi prosto na łeb i stąd ta rana.

— Nie zaczyna się — opowiadał kierownik wycieczki — stąpił zbyt silnie na korzeń drzewny, drzewo wyskoczyło i rąbnęło go w łeb.

— Poprostu graliśmy w futbol — mówił Janek ze Lwowa — to od piłki.

— Właściwie to nie myśmy grali w futbol — zaczynałem moją opowieść. Na polanie przed kolebką odbywał się mecz futbolowy: Krowy przeciw baranom. Za piłkę służyły im kamienie. Lolek stał za bramką i dostał w głowę krowim volley'em.

— Co znowu za futbol — oburzał się Gutek, który spał w drugiej kolebie i sam miał pewne wątpliwości — kiedyśmy wchodził na Sywulę zaczęła się obsuwać lawina z kamieni, no wiecie z gorganów, któremi pokryte są wszystkie szczyty

— Co znowu za futbol — oburzał się Gutek, który spał w drugiej kolebie i sam miał pewne wątpliwości — kiedyśmy wchodził na Sywulę zaczęła się obsuwać lawina z kamieni, no wiecie z gorganów, któremi pokryte są wszystkie szczyty

bardzo niebezpieczne. Lolek ocalił wszystkich.

Stanął na drodze lawinie i zawołał:

— Stanać stój! W tył zwrot! Naprzód marsz!

Gorgany posłuchały. Tylko jeden kamień się zbuntował i wyrzwał Loika w łeb. Sąd polowy skazał ten kamień na stracenie w przepaść. Wyrok został natychmiast wykonany.

W ten sposób przekonał się kolonij. Sądzę, że i was czytelnicy również. A jeśli nie wierzyście, to wiedźcie, że wszystko to bujda, a właściwie w lesie olbrzymi goryl rozbił Loikowi głowę gałęzią i stąd ta rana. Być zresztą może, że to były inne małpy, które go zraniły orzechami kokosowymi, zrzuconymi z drzew. Jasne?

Niedługo po tej wycieczce wróciliśmy do Warszawy.

W tytule napisałem: romans wakacyjny z przygodami. Czytelnik zapyta:

— Przygody były, wakacje były, ale gdzie romans?

Chcę was uspokoić. Nie kłamałem w tytule. Romans też był. Tylko jakoś — psiałość zapomniałem o tem napisać.

Osobliwości chińskie i japońskie

PAŁECZKI.

Obyczaje ludzi są rozmaite w różnych krajach i różnych epokach. To, co było uważane za dobry ton dawniej, dzisiaj byłoby wyśmiane. Obyczaje obcych ludów wydają się nam oryginalne i dziwaczne, gdyż nie jesteśmy do nich przyzwyczajeni. To samo prawdopodobnie myślą początkowo o nas członkowie tych narodów.

Japończyków, na przykład uważamy za naród wielce oryginalny, bo ich zwyczaj w wielu rzeczach sprzeczny są z naszymi. W książkach swych odsyłacze piszą u góry, nad kreską, a nie u spodu, jak my; konia dosiadają z prawej strony, a żłoby w stajniach umieszczają nawprost drzwi. Adresując listy najpierw wypisują nazwiska, a potem imię i tytuły. W rachunkach handlowych drobna moneta poprzedza cyfrę sumy ogółnej. Oznaką grzeczności nie jest zdjęcie kapelusza, a obuwia.

Śmiejemy się z tych zwyczajów i nie możemy pojąć, jak Japończyk lub Chińczyk zapomocą dwóch cienkich pałeczek chwytają potrawę i obywa się najzupełniej bez naszych noży, łyżek, widelców?

Nawzajem Japończyk śmieją się z nas. W budach z figurkami mechanicznymi, jakich pełno na jarmarkach japońskich, są okazy, przedstawiające Europejczyka, spożywającego potrawę zapomocą łyżki, noża, i widelca. Widok figury, poważnie krajającej mięso i niosącej do ust widelec wywołuje szalone śmiechy.

Używanie pałeczek w Chinach i Japonii jest rzeczywiście ciekawe. Oto mamy przed sobą obiadującego Japończyka. Obok mamy talerz leży zapieczona koperta, w której znajdują się pałeczki do jedzenia. Pałeczki są nierozcięte i trzeba je do użycia rozłamać. Pieczęć na kopercie i to, że pałeczki są nierozcięte, dowodzi, że pałeczki nie były używane. Hygiena w Japonii jest ściśle przestrzegana. Pałeczek używa się tylko raz; po użyciu je pali. Pałeczki te są długie na 30 cm., grubości ołówka i zupełnie białe.

Japończyk trzyma podczas jedzenia obie pałeczki w jednej ręce, mianowicie w prawej. Jedną z pałeczek opiera o kąt między pierwszym, a drugim palcem na połowie zaś wyciąga palec czwarty; pałeczka ta jest nieruchoma podczas manipulacji. Drugą pałeczkę umieszcza pomiędzy swobodnymi końcami pierwszych trzech palców zupełnie, jak pióro do pisania; ta jest ruchoma, oddala się ją, lub przybliża do pierwszej w miarę potrzeby. Mamy zatem rodzaj drewnianych szczypczyków, spojonych za pomocą dłoni. Japończyk używając ich z nadzwyczajną zręcznością, chwytają najdrobniejsze kawałki potraw, nawet ziarenka ryżu. Szybkość jest niekiedy wprost bajeczna. Za nadzwyczajną zręczność uważa się przekładanie pałeczkami jajka z półmiska, stojącego na stole do koszyka, umieszczonego na ziemi pomiędzy nogami biesiadnika. Jeden fałszywy ruch, a jajko wypada i tłucze się.

Chińczycy jedzą również pałeczkami, lecz gdy Japończyk używają wyłącznie drewnianych, oni wyrabiają prócz tego ze złota, srebra, kości słoniowej, stali i miedzi, stosownie do zamocności. Hygiena tutaj

jest mniej przestrzegana i pałeczek używa się wielokrotnie, podobnie, jak u nas, noży widelców i łyżek. Trzeba zwrócić uwagę, że Japończyk są bodaj najczystszy narodem świata i kąpią się niekiedy kilka razy dziennie.

W związku z używaniem pałeczek w restauracjach chińskich odbywa się pewnego rodzaju loteria. Otóż każdy gość wchodząc do restauracji wyciąga sobie z pudła, stojącego przy drzwiach parę pałeczek. W pudle znajduje się kilka par z cyframi: wyciągający pałeczkę z cyframi ma prawo do jednej bezpłatnej potrawy.

U Japończyków pałeczki mają wszechstronne zastosowanie. Kucharze łyżek nie znają, pałeczkami mieszają sosy, biją pianę, rozciągają ciasto, posypują je cukrem lub mąką. W domach japońskich znajdujemy piecyki porcelanowe, w których układa się węgle w kształcie piramidy, wewnątrz której tli się żar; tu metalowe pałeczki połączone łańcuchem pełnią funkcję cęgów i pogrzebacz. Hodowcy jedwabników pałeczkami przenoszą z liści na liście drzew morwowych słabe lub młode gąsienice pożytecznych owadów, które są tak delikatne, że lada silniejsze dotknięcie usmierca je. Wreszcie śmieciarki japońskie pałeczkami długimi na 60 do 90 cm. zbierają odpadki po ulicy.

Używanie pałeczek w Japonii datuje się od bardzo dawna. W pewnym klasztorze znajduje się cała kolekcja tych pałeczek, która należała kiedyś do monarchii japońskiego,

panującego w V wieku.

— Patrzcie! — wołają z dumą Japończyk, pokazując nam te zabytki. — Kiedyście rozrywali jeszcze mięso palcami, myśmy już jedli, jak porządni ludzie.

WALKI ŚWIERSZCZÓW.

Jedną z ulubionych zabaw ludu chińskiego są walki świerszczów. Walki te w Chinach są równie pożądanym pretekstem do zakładów jak np. wyścigi konie u nas, walki bokserskie w Ameryce, walki kogutów w Anglii. Dlatego też Chińczycy wyszukują starannie te owady, wyjmują je z ich kryjówek w murach i hodują troskliwie aż do wielkiego dnia walki.

Walka odbywa się w ten sposób, że dwaj zapaśnicy wypuszczani są jednocześnie na wielką tacę i popychani ku sobie z zachętą do bójk. Skoro tylko jeden z tych bitnych owadów dostrzeże drugiego, wydaje wnet ostry okrzyk wojenny, rzuca się na drugiego i bije zawzięcie dopóki drugi nie podda tyłu. Właściciel zwycięskiego świerszcza zabiera wygrane zakłady, których wysokość jest bardzo różna, gdyż obok zakładów o drobne kwoty między biedotą uliczną, sportowcy temu oddają się namiętnie i ludzie bogaci, stawiający często po kilkaset dolarów. Z tego powodu wypróbowany zapaśnik kosztuje nieraz bardzo drogo. W Chinach istnieją całe kluby dla walk świerszczów, kluby te gromadzą się w szopach, specjalnie na ten cel wystawionych.

ZE ŚWIATA FILATELISTYKI

HISTORIA

SKRZYNKI POCZTOWEJ

Zanim skrzynka pocztowa podbiła cały świat przechodziła różne koleje tak co do formy jak i co do użycia.

Dzisiaj w najmniejszej wiosce znajduje się conajmniej jedna skrzynka pocztowa, a w większych miastach wisi na każdym niemal rogu ulicy. Nie zawsze jednak tak było.

Nie stwierdzono dokładnie, gdzie i kiedy po raz pierwszy wystąpiła skrzynka pocztowa, jako osobne urządzenie pocztowe.

Podobno w XVI wieku we Włoszech w mieście Florencji na kościolach były umieszczone skrzynki drewniane z otworami dla wrzucania listów. Nazywały się te skrzynki tamburi i służyły celom specjalnym, mianowicie przeznaczony były na anonimowe doniesienia, które miały przestrzegać rząd przed rozruchami i zamachami.

Tamburi te stały się powodem nadużyć i znikły.

Następnie poczta przyjęła je dla swoich celów i to jest początek skrzynki pocztowej.

Jednak w XVI wieku pisanie listów było wielką rzadkością i piszący list zwykle wysyłał go przez specjalnego posłańca.

Jeszcze w końcu XVIII wieku ruch listowy był bardzo słaby. W Wiedniu np. nie było wcale skrzynek pocztowych a listy zbierali specjalni gońcy pocztowi, zapatrzeni w klekotki, które im dawali znać o schyłku.

W Paryżu wprowadzono skrzynki pocztowe w drugiej połowie wieku XVII. Były one

używane tylko dla listów miejscowych. Po świecie rozrosły się wojny napoleońskie. Najsmród wprowadzono je w Niemczech, potem także w Polsce.

Skrzynek tych było początkowo niewiele. Korzystanie z nich było początkowo bardzo utrudnione z powodu ówczesnych przepisów pocztowych.

Do skrzynek można było wrzucać tylko nieopłacone listy miejscowe. Opłatę ponosił odbiorca. Natomiast listy zagraniczne, przy których opłatę ponosił wysyłający musiały być oddawane w urządzenie pocztowym celem wymierzenia opłaty, gdyż znaczków pocztowych wówczas nie znano. Wysokość opłaty była zależna od odległości.

W różnych miastach rozmiać przyjmowano instytucje skrzynek pocztowych. Niekiedy zachwycono się nimi, jako doskonałym urządzeniem, które jest dostępne dla publiczności w dzień i w nocy. Gdzieś indziej znów długo operano się tej inowacji pod pozorem, że osoby niezadowolone z urzędników pocztowych mogłyby wrzucać do skrzynek obraźliwe listy na nich bez podpisu.

Pierwsze skrzynki pocztowe były drewniane lub blaszane, niekiedy miały fantastyczne kształty.

Początkowo opróżniano skrzynki ręcznie, potem wprowadzono wkłady z blachy lub ze skóry. Wkład taki zamknięty wyjmują się ze skrzynki w pewnych określonych godzinach, a na jego miejsce wkładają się inny próżny. Wypróż-

ŻARTY

DZIWA PRZYGODA.

Dwaj chłopcy przybyli wieczorem po krótkiej podróży do pewnego miasteczka, gdzie mieszkał znajomy ich rodziców. Odszukali go i poprosili o nocleg. Znajomy zaprowadził ich do ciemnej komórki i wskazując małe niewygodne łóżko rzekł:

— Na tem oto łóżku możecie spocząć, ale tych drzwi — tu wskazał ręką — nie otwierajcie.

Jeden z malców, zaciekawiony słowami starszaka, postanowił przekonać się, co też znajduje się za owymi tajemniczymi drzwiami. Otworzył je bez namysłu i nagle znalazł się przed pięknym łóżkiem, przykrytem puchową kołdrą.

Uradowany swym odkryciem rzekł do brata:

— Spójrz Jasiu, co za wspaniałe łóżko, położymy się tutaj obaj.

Jaś zgodził się i obaj chłopcy wkrótce smacznie zasnęli.

Nazajutrz, a była już godzina dwunasta w południe, budzi się jeden z chłopców, a widząc, że brat jego leży zupełnie odkryty, woła:

— Jasiu, zakryj się, bo leżymy na wystawie.

NAPIWEK.

W wagonie siedzi jakaś starsza pani i wypatruje kogoś nieraz spogląda niecierpliwie na zegarek.

Nagle do okna podbiega jakiś mały chłopiec i woła zdyszczony:

— Proszę pani, już jestem.

— No nareszcie, masz bilet?

— Tak kupiłem. Kosztuje 4 zł. 30 groszy.

Pani otwiera torebkę, oblicza pieniądze i wręczając je chłopcu mówi:

— Masz tu 4 zł. 30 groszy możesz sobie zatrzymać za fatywę.

ROZMOWA NURKÓW.

Pod wodą spotyka się dwóch nurków. Jeden mówi do drugiego:

— Wolę tutaj pracować niż siedzieć w domu. U mnie w domu straszna wilgoć.

NA ULICY.

Panie policjancie, czy to jest ta druga ulica na lewo?

FANTAZJA.

Pewien podróżnik opowiada o przygodzie, która mu się zdarzyła w Meksyku.

— Wyobraźcie sobie: wracam o czwartej nad ranem do domu. Nagle z za węgla wyskakuje jakiś drab i krzyczy: „pieniądze lub życie!“ Zaczęłam uciekać. Jeszcze nigdy w życiu nie uciekałam. Kiedy zacząłem uciekać była czwarta, a gdy się zatrzymał zegarek mój pokazywał dwunastą.

— Nie błądź, nie mogłeś

przecież biec przez tyle godzin!

— Właśnie, ale mój zegarek tak się zląkł, że przeleciał jedenaście godzin w ciągu pięciu minut!

INTELGENTNY PROFESOR.

— A więc, panie kandydacie — mówi profesor — weźmy wypadek, że ktoś sobie ciężko odmroził nogi. Rzecz dzieje się na pustkowiu. W pobliżu niema żadnego domostwa. Co pan czyni, aby udzielić mu pierwszej pomocy?

— Nacieram mu silnie nogi śniegiem, panie profesorze.

— Bardzo dobrze. A teraz proszę sobie wyobrazić, że rzecz zdarzyła się w lecie i nie ma nigdzie w pobliżu śniegu...

GLUCHOTA.

Profesor Ł. jest już człowiekiem starym i trochę nie dosłyszy. Pewnego razu pyta studenta:

— Jak się pan nazywa?

— Kapuśniak.

— Jak?

— Kapuśniak, panie profesorze.

— Głośniej, nie słyszę...

— Kapuśniak! — krzyczy student.

Profesor zaczyna się śmiać.

— Z czego pan profesor się śmieje?

— A, bo widzi pan, trochę nie dosłyszę i zdawało mi się, że pan powiedział Kapuśniak...

SZCZYT ROZTARGNIENIA.

Jeśli poseł na Sejm, mający wolny bilet kolejowy pierwszej klasy, wykupuje bilet drugiej klasy, wsiada do trzeciej i w drodze płaci karę za jazdę bez biletu.

PRZESADA.

— Byłem w Ameryce — opowiada, chwając się pewien pan — i pomyślecie: widziałem maszynę, do której z jednej strony wkładało się ziarno, a z drugiej wychodził gotowy już chleb i bułki!

— E to jeszcze nic — mówi drugi — ja byłem we Włoszech i widziałem maszynę, do której z jednej strony wysypywało się świeże winogrona, a z drugiej strony parobek wypędzał z szynku pijanych już gości.

CZASY SIE ZMIENIAJA.

Po lśniacej tysinie pewnego pana spacerują dwie muchy.

— Ach mój Boże odzywa się jedna mucha do drugiej — jak ten świat się zmienia. Pamiętam czasy, kiedy w tem miejscu była tylko wąska ścieżka.

TAK W ŻYCIU BYWA.

Policjant, przechodząc brzegiem Wisły, spostrzega w wodzie, w odległości kilkunastu metrów jakiegoś człowieka.

— Hej, panie ładny! Wylaż pan w tej chwili. Tu nie wolno się kąpać.

— Ja się nie kąpie, ja tonę!

nianie wkładów odbywa się w urzędzie pod kontrolą urzędnika.

Miejsce skrzynek z wkładami zajęły skrzynki automatyczne. Wypróżnia się je przez wsunięcie torby, umieszczonej na ramach żelaznych pod dno skrzynki, które wtedy otwiera się automatycznie i listy wpadają do torby. Po wysunięciu torby dno automatycznie się zamyka.

W Polsce obecnie mamy około 17.000 skrzynek.

NAJWIĘKSZE MUZEUM POCZTOWE.

Największe muzeum pocztowe znajduje się w Szwajcarii,

w mieście Bern. Oprócz ogromnego i bardzo bogatego zbioru przedmiotów, dotyczących się urzędzeń pocztowych wogóle znajduje się tam najbogatsza kolekcja znaczków pocztowych.

Kolekcję tę uzupełnia zarząd tego muzeum od roku 1874 t.j. od czasu, w którym został założony światowy związek pocztowy, którego siedzibą jest Bern. Ten przebogaty zbiór liczy kilkadziesiąt tysięcy sztuk znaczków, które z obowiązku poczty wszystkich państw, należących do zwiazku pocztowego nadsyłać muszą z każdego nowego wydania.